

Wywiad / Z Ronenem Bergmanem, autorem „Powstań i zabij pierwszy”



rozmawia Piotr Zychowicz

Żołnierze Shayetet 13, specjalnej jednostki izraelskiej marynarki wojennej

FOT. ISRAEL DEFENCE FORCES

Egzekutorzy z

PIOTR ZYCHOWICZ: Co to jest „selektywna eliminacja”?

RONEN BERGMAN: To izraelski kryptonim operacji mającej na celu zabicie człowieka.

Ilu ludzi poddano tej procedurze?

Nie ma dokładnych danych. To są dane ściśle tajne. Szacuję jednak, że izraelskie służby w całej swojej historii wykonały ok. 3 tys. operacji eliminacyjnych.

Trzy tysiące zabitych ludzi? Sporo.

To, że Izraelczycy przeprowadzili 3 tys. operacji, nie oznacza, że zabili 3 tys. ludzi. Część akcji zakończyła się fiaskiem. W swojej książce opisałem np. wiele nieudanych prób zabicia palestyńskiego przywódcy Jasera Arafata. Nie ma jednak wątpliwości, że Izrael zlikwidował więcej ludzi niż jakiegokolwiek inne państwo Zachodu od zakończenia II wojny światowej.

Którą z tych 3 tys. operacji uważa pan za najlepszą?

To trudy wybór. Wskazałbym jednak na operację „Morris”, czyli wytropienie i zabicie Imada Mugnii, wojskowego przywódcy Hezbollahu. Ten facet miał na rękach krew tysięcy ludzi. Odpowiadał za wiele zamachów na Izraelczyków, to on stał za atakiem na ambasadę USA w Bejrucie w 1983 r. Zginęły wówczas 63 osoby. Mugnija był najbardziej niebezpiecznym terrorystą w historii.

A jednocześnie nieuchwytnym.

Tak, wytropienie go wydawało się niemożliwe. On był jak cień. Wymykał się pogoni przez 26 lat. Był najbardziej poszukiwanym człowiekiem na planecie Ziemi. Dopaść chciały go służby 41 państw, ale nikt nic o nim nie wiedział. Wszystko, czym dysponował Mosad, to stare, wyblakłe i rozmyte zdjęcie Mugnii z 1983 r.

Niewiele.

Prawie nic. Operacja została przeprowadzona w 2006 r., a więc 23 lata później. Izraelczycy nie mieli bladego pojęcia, gdzie jest Mugnija. Kim są jego

ludzie. Jaka jest struktura jego organizacji. Mugnija był mistrzem kamuflażu. Potrafił być niewidzialny. Szef Mosadu wydał jednak rozkaz, żeby go odnaleźć. I zabić. W ten sposób rozpoczęła się najbardziej niesamowita i skomplikowana operacja eliminacyjna, jaką kiedykolwiek przeprowadzono. Brało w niej udział pięć czy sześć agencji wywiadowczych z Izraela i USA. Działyły one pod nadzorem premiera Ehuda Olmerta i prezydenta George’a W. Busha.

Ile trwała operacja?

Do popołudnia 12 lutego 2008 r. Imad Mugnija zginął tego dnia. Agenci Mosadu włamali się do bagażnika jego samochodu. To była terenówka – mitsubishi pajero. Izraelczycy wyjęli z niej koło zapasowe i umieścili nową oponę. W środku znajdował się ładunek wybuchowy. W momencie, gdy Mugnija wsiadał do samochodu, doszło do eksplozji.

Jak go wytropiono? Popełnił jakiś błąd?

To świeża sprawa i nadal wielu szczegółów nie mogę wyjawić. Mogę tylko po-

Terrorystów likwiduje się także raketami wystrzeliwanymi z samolotów FOT. ARCHIWUM

Mosadu



wiedzieć, że każdy człowiek pozostawia po sobie jakiś ślad. Ślad, który – prędzej czy później – może do niego doprowadzić. Mówi się na przykład: „Ten facet jest nie do wytropienia, bo codziennie zmienia swój rozkład zadań”. Problem w tym, że to tylko teoria.

Dlaczego?

Ponieważ tak się nie da żyć! Nie można codziennie gdzieś indziej nocować. Codziennie gdzieś indziej jeść. Codziennie bywać w innych miejscach. Każdy człowiek powtarza pewne czynności. Czasami robi to właśnie po to, żeby nie zostać wytropionym, ale – paradoksalnie – popełnia śmiertelny błąd.

Proszę wybaczyć, ale nie rozumiem.

Wyobraźmy sobie, że w każdy wtorek robi pan coś zakazanego w tym samym miejscu. I nie chce pan, żeby ktokolwiek o tym wiedział. Dlatego w każdy wtorek o tej samej porze wyłącza pan telefon i wyciąga baterię. Tak, aby nie można było pana namierzyć. Ma pan rację. Problem w tym, że tajne służby otrzymują

ważną wskazówkę – co wtorek wyłącza pan telefon. Czyli zostawia pan jakiś ślad. Potem wystarczy iść po nitce do kłębka.

Rozumiem, że Imad Mugnija popełnił właśnie taki błąd.

Mugnija został wytropiony w Damaszku. Mosad nie miał jednak możliwości go tam „zdjąć”. Przed syryjską rewolucją miasto kontrolowały bowiem bardzo silne służby dyktatora Baszara al-Asada. Izraelczycy nie mogli tam działać. Dlatego właśnie potrzebowali Amerykanów.

Po co?

Amerykanie mieli w Damaszku coś, czego Izraelczycy nigdy mieć nie mogli – ambasadę. Ambasada daje duże możliwości – pocztę dyplomatyczną, immunitet, samochody. Zaplecze logistyczne do operacji. Amerykanie twierdzili później, że zabicie Mugnii było ich akcją, a Izraelczycy udzielili im tylko niewielkiej pomocy. W rzeczywistości było odwrotnie.

W książce pisze pan, że celem akcji eliminacyjnych było usunięcie ludzi, którzy stanowili zagrożenie dla życia Izraelczy-

ków. Zdarzało się jednak, że Mosad brał udział w akcjach, których nie da się tak usprawiedliwić. Mam na myśli zabójstwo Mehdiego Ben Barki z 1965 r.

Jestem jedynym facetem na świecie, który ma oryginalne dokumenty dotyczące tej sprawy. Mehdi Ben Barka był rewolucjonistą, liderem opozycji marokańskiej na emigracji. Mosad ściśle współpracował zaś ze służbami króla Hasana II. Pomoc w wytropieniu Ben Barki miała być nagrodą dla marokańskich służb za informacje, jakie przekazywali Mosadowi. I zachętą do dalszej współpracy.

Jaka była rola Mosadu w całej aferze?

Pomogli Marokańczykom zlokalizować Ben Barke, a następnie zwać go do Paryża. Zapewnili im wsparcie logistyczne – samochody, meliny, dokumenty – ale w samym uprowadzeniu udziału nie wzięli. Marokańczycy zawieźli Ben Barke do tajnego miejsca i tam torturowali. 29 października 1965 r. podczas podtapiania w wannie wypełnionej brudną wodą Ben Barka zmarł. Wtedy Izrael-

■ czycy znowu musieli wkroczyć. To oni pozbyli się trupa. Zakopali go w lesie, wcześniej oblawszy specjalnym kwasem, który rozpuścił ciało i kości. Na koniec pomogli zabójcom udzielić z Francji.

Podobno to była ostatnia tego typu operacja w dziejach Mosadu.

O, tak. Z tej operacji wyciągnięto wniosek. Jeżeli już jesteście zaangażowani w akcję likwidacyjną, to robimy to sami.

Bez najemników i innych niepewnych ludzi, którzy mogą się wymknąć spod kontroli. Francuskie służby były bowiem w stanie rozwikłać zagadkę, dlatego że Marokańczycy zaangażowali do akcji skorumpowanych francuskich policjantów.

Czy agenci Mosadu w swoich akcjach używają gadżetów takich jak James Bond?

No cóż, rzeczywiście jednego z terrorystów zabito za pomocą zatrutej pasty do zębów. W laboratorium Mosadu stworzono również wyjątkowo niebezpieczną truciznę. Wystarczy kilkoma kroplami tej substancji spryskać skórę człowieka, żeby po kilku godzinach zanikły jego funkcje życiowe.

A co ze strzelającymi pistoletami?

Kiedy Mosad czegoś potrzebuje, oczywiście to produkuje. Najwięcej wysiłku wkłada się jednak w coś innego – opracowanie sposobu na dostanie się w pobliże celu. To jest najtrudniejsze, najbardziej czasochłonne i skomplikowane.

Wymaga stworzenia fałszywej tożsamości dla agentów, wyrobienia im fałszywych paszportów. Opracowanie całej logistyki. Natomiast sposób wykonania zadania, wybranie narzędzia to już są sprawy drugorzędne.

Gdy już mówimy o truciznach. Czy Jaser Arafat w 2004 r. został otruty przez Mosad?

To jedyna sprawa, o której piszę w mojej książce, że nie zamierzam o niej pisać. Uchyłam się więc od odpowiedzi na to pytanie.

Może zmienił pan zdanie. Od wydania książki minęło dobrych parę miesięcy?

(śmiech) Nie, nie zmieniłem zdania. Muszę mieć o czym pisać w kontynuacji „Powstań i zabij pierwszy”.

W trakcie rozmowy skupiliśmy się na arabskich terrorystach. Zdarzało się jednak, że Izraelczycy likwidowali zbrodniarzy z czasów III Rzeszy.

Domyślam się, że ma pan na myśli zabicie Herbertsa Cukursa, „Rzeźnika z Rygi”. To była unikalna i dziwaczna operacja.

W latach 60. w głównej siedzibie Mosadu odbyło się spotkanie na temat narodowosocjalistycznych zbrodniarzy. Padło na nim nazwisko Cukursa. W tym samym momencie rozległ się huk. Na ziemię padł szef wywiadu wojskowego. Kiedy go ocucono, powiedział: „Ten człowiek spalił całą moją rodzinę”.

Gdzie znajdował się Cukurs?

W Ameryce Południowej. Zabicie go było przysługą, którą szef Mosadu postanowił zrobić szefowi wywiadu wojskowego. Warto wspomnieć, że Cukurs nawet nie był Niemcem. To był Łotysz, kolaborant, który w 1941 r. wziął aktywny udział w wymordowaniu łotewskich Żydów.

Likwidacja Cukursa nie była chyba dobrze zaplanowaną operacją?

Nie, to było zorganizowane w sposób koszmarny. W 1965 r. zwabiono go do Urugwaju, do luksusowej rezydencji. Tam doszło do zacieklej walki wręcz między Cukursem a agentami Mosadu. W jej trakcie Łotysz odgryzł palec jednemu z Izraelczyków, ale drugi rozbił Łotyszowi czaszkę – zatłuczono Cukursa młotkiem.

Porozmawiajmy teraz o moralnym wymiarze takich akcji. Kto podejmuje decyzje o zabiciu człowieka?

Decyzja należy do premiera. Opowieści o tym, że powoływane są jakieś tajne sądy, przed którymi prokurator musi przedstawić dowody, to nonsens. Tylko czasami głos zabiera Komitet X. Nieformalne ciało doradcze, które ma premierowi udzielić rady. Chodzi o to, żeby polityk sprawujący funkcję szefa rządu mógł podzielić się z kimś odpowiedzialnością za ewentualne fiasko. Na końcu jednak decyzja i tak należy do niego.

Skoro nie ma prokuratora, to nie ma też adwokata.

Oczywiście.

Uważa pan, że to jest fair? Zabić człowieka bez dania mu prawa do obrony?

Nawet organizacje walczące o prawa człowieka zgadzają się z tym, że terrorystę, który stanowi zagrożenie dla ludzkiego życia, można zabić bez sądu. Nie tylko w sytuacji, gdy ma przy sobie bombę, lecz także gdy grzecznie śpi w łóżku. Gdyby nawet powołano taki sąd, to przecież to by była farsa. Oskarżony nie mógłby się przed nim stawić i bronić się osobiście. Cała procedura jest przecież ściśle tajna.

Taki człowiek może być jednak niewinny.

Nie słyszałem o tym, żeby Mosad w ostatnich latach zlikwidował niewinnego człowieka. Nawet Palestyńczycy nie twierdzą, że terroryści, których zlikwidowały izraelskie służby specjalne, byli niewinni. Kluczowe jest jednak to, że w swojej książce staram się przedstawiać fakty. Osąd moralny pozostawiam czytelnikowi.

Człowiek, który dla Izraelczyków jest „terrorystą”, dla innego narodu może być „bohaterem walki o wolność”.

Mówimy o ludziach, którzy wysyłają zamachowców samobójców do autobusów wypełnionych cywilami. Ludziach, którzy wysadzają w powietrze przedszkola i szkoły. Izrael prowadzi wojnę z takimi typami. I ma pełne prawo nazywać ich terrorystami.

Czy Wielka Brytania miała pełne prawo nazwać terrorystą Menachema Begina, szefa Irgunu, który w latach 40. podkładał bomby w Palestynie?

Sprawa jest prosta. Jeżeli celem twoich ataków są obiekty wojskowe, to nie jesteś terrorystą. Jeżeli celem twoich ataków są obiekty cywilne, to jesteś nim. Gdy w 1946 r. Begin wysadził w powietrze hotel King David w Jerozolimie, stał się terrorystą. Zresztą on sam określał się tym mianem.

Czyli gdyby Brytyjczycy go zabili, byłoby to usprawiedliwione?

Z ich perspektywy – tak. Przypominam zresztą, że brytyjscy agenci zabili kolegę Begina – Abrahama Sterna, szefa radykalnej organizacji Lehi.



A co z kosztami psychologicznymi, które ponoszą agenci Mosadu?

Jeżeli zabiłeś człowieka lub nawet brałeś udział w zabójstwie człowieka, to wówczas coś w tobie umiera. Nawet jeżeli ofiara była diabłem w ludzkiej skórze. W Izraelu żyje kilkadziesiąt tysięcy ludzi, którzy w ciągu ostatnich kilkadziesiąt lat byli zaangażowani w operacje eliminacyjne. Wielu z nich boryka się z traumą. Uważają jednak, że to, co robili, było złem koniecznym. Zabijając jednych ludzi, ratowali innych. Zapewniali bezpieczeństwo swojej ojczyźnie. Takie podejście bez wątplenia pomaga uporać się z poczuciem winy.

Czy człowiek, który dzisiaj zabija, jutro może wrócić do społeczeństwa? Odegrać rolę dobrego ojca i męża, przykładnego obywatela? Co piątek chodzić do synagogi?

Znam wielu ludzi, którzy po odejściu z Mosadu potrafili wrócić do cywilnego życia. Mają normalne rodziny. Część z nich chodzi do synagogi, a część nie. Ci, którzy nie chodzą, nie robią tego jednak dlatego, że mają krew na rękach, ale dlatego, że są ateistami.

Dzisiaj wyroki wykonywane są często nie poprzez pociągnięcie za spust, ale poprzez naciśnięcie guzika w centrum sterowania dronem.

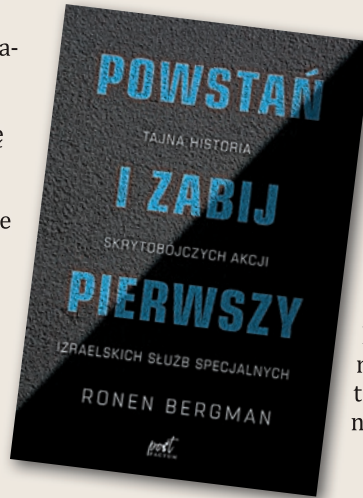
Oczywiście znacznie łatwiej jest zabić człowieka na odległość, niż stanąć z nim oko w oko. Zdradzam panu, że byłem wewnątrz takiego centrum – umieszczonego w półciężarówce – podczas operacji likwidacyjnej. To było bardzo dramatyczne. Wszystko rozgrywało się na ekranie. Wyglądało to jak gra komputerowa, ale wiedziałem, że ginie prawdziwy człowiek.

W akcjach Mosadu często giną postronne osoby. Weźmy wybuch samochodu pułapki w Bejrucie w 1979 r. Oprócz „Czerwonego Księcia” – organizatora masakry w Monachium – zginęło w nim kilku przechodniów.

To była nietypowa sprawa. Mosad chciał dopaść i zabić „Czerwonego Księcia” za wszelką cenę. On przez wiele lat wymykał się pogoni. A próby zabicia go kończyły się fiaskiem. Zgadzam się jednak, że podczas akcji w Bejrucie agenci Mosadu powinni byli przewidzieć, że wysadzenie w powietrze samochodu na ruchliwej ulicy może pociągnąć za sobą przypadkowe ofiary. Tak, to powinno zostać zrobione inaczej.

W Strefie Gazy takie historie zdarzają się jednak często. Media co chwila donoszą, że Izraelczycy zabili jakiegoś terrorystę, a wraz z nim jego rodzinę i sąsiadów.

Opowiem panu pewną historię. Dochodzi do eskalacji konfliktu. Izraelczycy codziennie giną w zamachach samobójczych i w wyniku ostrzału raketowego. Wiemy, że stoi za tym konkretny przywódca Hamasu. Wiemy, gdzie mieszka. Nagle ten facet staje się jednak najlepszym mężem na świecie. Nagle nie przestaje opuszczać swojej żony nawet na minutę. Wszędzie chodzi razem, trzymając się za ręce. Wielki romantyzm w Strefie Gazy.



Rozumiem, że używa jej jako żywej tarczy.

Dokładnie. I co my mamy w takiej sytuacji zrobić? Zabić go wraz z żoną? Czy pozwolić, żeby dalej zabijał naszych obywateli? To diabelski dylemat. Jestem ostatnim człowiekiem na Ziemi, który chciałby podejmować decyzję, czy spuścić na tego faceta raketę czy nie.

W wybuchach izraelskich rakiet w Gazie giną jednak często dzieci, sąsiedzi, przechodnie. Nie tylko żony.

Rozmawiałem kiedyś na ten temat z jednym z oficerów Mosadu. „W agencji obowiązuje jedna żelazna zasada, której nigdy nie łamiemy – powiedział mi. – Jeżeli wiemy, że w miejscu, w którym ma się odbyć uderzenie, znajduje się dziecko, przerywamy operację. Jeżeli dziecko wchodzi do budynku, a raketa już została odpalona, zawracamy ją lub niszczymy”.

Nie zawsze chyba się to udaje...

Tak, niestety było wiele przypadków, w których ginęły dzieci. Nie zabito ich jednak z premedytacją. Zawiodła praca wywiadowcza, ludzie Mosadu nie wiedzieli, że dzieci są blisko celu. Proszę również pamiętać, że ludzie, na których polują Izraelczycy, często są w ruchu. Izraelskie służby naprawdę robią wiele, aby zminimalizować straty wśród cywili.

Na przykład używają znacznie mniej szych bomb niż kiedyś.

Czy to prawda, że w 2011 r. izraelskie Ministerstwo Obrony uznało pana książkę za tak niebezpieczną, że próbowało zablokować jej powstanie? Brzmi to trochę jak chwyt marketingowy.

To nie żaden chwyt. Szef sztabu Gabi Aszkenazi rzeczywiście chciał, żebym stanął przed sądem za szpiegostwo. I w ten sposób chciał zapobiec ukazaniu się „Powstań i zabij pierwszy”. Otrzymałem wtedy wiele telefonów od moich informatorów ze służbami, którzy mówili mi: „Ronen, nie wiemy, co robisz, ale cokolwiek robisz – przestań. Bo jutro rano do twoich drzwi zapukają goście z Szin Bet, aby cię aresztować”. Nie wiem, ilu czytelników „Historii Do Rzeczy” otrzymało kiedyś takie telefony? Zapewniam, że to nic miłego.

A czy to prawda, że specjalnie dla pana zmieniono w Izraelu prawo?

Tak. Dziesięć lat temu, aby powstrzymać mnie przed dotarciem do dokumentów Mosadu, Izrael przedłużył okres tajności akt z 50 do 70 lat. Gdy poszedłem do sądu, żeby zaskarżyć tę decyzję, jeden z dygnitarzy powiedział: „Ronen, i tak nigdy nie zobaczysz tych dokumentów. Jak upłynie te 70 lat, to przedłużymy utajnienie do stu”.

Co może być groźnego w ujawnieniu szczegółów operacji z lat 50. lub 60.?

Nic. Myślę, że ludzie służb starają się ukrywać wpadki swoich poprzedników. Przede wszystkim uważają się za strażników tajemnic swojej organizacji. Uważają, że historia Mosadu należy do nich.

Niestety – wszystko im się pomieszało. Zapomnieli, że to oni pracują dla mnie. Dostają pensje z moich podatków. To jest więc również moja historia. Mam prawo o niej pisać.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



Ronen Bergman

– izraelski dziennikarz gazety „Jedi’ot Acharonot” i „New York Timesa”. Specjalista w zakresie historii służb specjalnych.